

# Z ARCHIWUM: JELONKA NA „DZIADACH”

1.

Leonia Jabłonkówna do Kazimierza  
Dejmka.

Motto:

Ach, zbyt ciężka ręka boska!  
Okropne cierpię męczarnie:  
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!  
Nie znałeś litości, Panie!  
Cierpię, szaleję — a Ty mądrze i wesóło  
Zawsze rządzisz,  
Zawsze sądzisz,  
I mówią, że Ty nie błądzisz!  
... Przeciwią się duchy (teatralne)

Upokórzmy się Panu i zrobmy akt  
skruchy — co czynię niniejszym.

Oczywiście, nie zamierzam bynajmniej tą trawestacją skwitować całej sprawy: mówiąc już serio, stwierdzam, że mój postępek był godny potępienia i wyrażam z tej przyczyny głębokie ubolewanie. Miałabym wprawdzie sporo argumentów na moją obronę. Dopuszczałam się aktu agresji (chyba zresztą pierwszy raz w życiu), a jak nas poucza historia, agresja bywa często spowodowana, co, zdaniem wielu świątłych umysłów, może ją — przynajmniej do pewnego stopnia — usprawiedliwić. Wydaje mi się, że tak właśnie było w moim przypadku. Nie chcę zresztą już do tego wracać: fakt pozostaje faktem i muszę przyznać się do winy. Cóż —

nieoczekiwane wybuchy namiętności zdarzają się osobom nawet w wieku tak dojrzałym i raczej niezbyt awanturniczym, jak niżej podpisana; desperacja, poczucie krzywdy zaciemniają rozsądek, umiar i przyzwoitość i stają się zawiązkiem tragedii...

Pozwolę sobie jednak zaznaczyć, że również i Pana reakcja nie wydaje mi się wykwittem obiektywizmu i powściągliwości. Myślę, że swoją surową admonicję mógł Pan wyrazić nieco subtelniej i nie wyrażać aż tak ostentacyjnie swojego niezadowolenia z powodu mego familiarnego zwrotu. „Znaj proporcją, mocium panie” — orzekł Pan kategorycznie i odwrócił się tyłem, nie pozwalając mi nawet powiedzieć słowa w swojej obronie — do czego, o ile mi wiadomo, nawet najciężej obwiniony ma prawo. Ależ znam proporcje, Panie-Dyrektorze-Teatru Narodowego, i właśnie dlatego żywię pewne wątpliwości co do zaprezentowanego przez Pana w tych okolicznościach stylu Cześnika.

Jeżeli jednak, mimo tych wszystkich akcydensów, nie poprzestaję na suchym i czysto formalnym przeproszeniu, i piśszę ten list w tonacji „przez pół żartem, przez pół serio” — to dzieje się tak z dwóch przyczyn. Pierwszej się Pan pewnie domyśla: nie chciałabym zerwać z Panem całkowicie stosunków dyplomatycznych ze względu na ów nieszczęsny

kurs SPATiFowski, za którego jakoś jestem w pewnym stopniu odpowiedzialna. Muszę przecież Pana pilnować i nudzić, żeby — o ile to tylko będzie możliwe — wziął Pan w nim udział. Jak Pan widzi, jest to przyczyna cyniczna.

Druga przyczyna... druga przyczyna nie jest cyniczna. Wiąże się z dzisiajszym spektaklem, z całym splotem wrażeń i wzruszeń, jakich na nim doznałam. Byłoby dla mnie jakąś niepowetowaną stratą, naprawdę bolesnym ciosem, gdyby ów fatalny incydent miał mi się stale kojarzyć we wspomnieniu z przeżyciami tego wieczoru. Tak bardzo zależy mi na tym, żeby zachować je nietknięte, niezmacone tym obrzydłym idiotycznym zgrzytem. Czy zechce mi Pan w tym dopomóc? Proszę o to.

Leonia Jabłonkówna

Warszawa, 2 grudnia 1967

2.

Kazimierz Dejmek do Leonii Jabłonkówny.

Wielce Szanowna Pani!

Wczoraj po powrocie z Łodzi zastałem list Pani — który — szczerść za szczerść — wzbudził we mnie różnorakie uczucia i wrażenia podczas czytania i po zakończeniu, a najpierwsze — to podziw i głęboki szacunek dla Pani i własna niedogoda wewnętrzna i zażenowanie.

Fakty są nieodwracalne, więc i ten także. Winienem jednak Pani wyjaśnić pewną niebłąhą okoliczność mojego postępowania.

Przedstawienie w dniu 1 XII br. było premierą B, przeznaczoną w części dla zaproszonych gości, głównie oficjeli i naczelnych redaktorów tygodników i dzienników.

Po wejściu „kogoś” na widownię — po rozpoczęciu akcji — zbiegłem natychmiast do bileterki, która, płacząc, poinformowała mnie, że jacyś państwo odepchnęli ją od drzwi — została mimowolnie uderzona nimi w ramię — i wdarli się na salę. Ów pan oświadczył

jej przy okazji: „to się źle dla pani skończy”.

Przed paru tygodniami patrol ruchu MO zatrzymał w nocy humbera, w którym znajdowało się liczne pijane towarzystwo ze sfer naszego „naczalstwa”, jedno z nich, również pijane, prowadziło wóz.

Stanowcza interwencja patrolu zakończyła się po paru dniach wyrzuceniem z pracy milicjantów.

Nie tylko z tego powodu powstało we mnie przekonanie, iż podobnego czynu dopuścić się mógł tylko któryś z „ważnych osobników” — niechże się więc Pani nie dziwi, że wszystko we mnie „zabulgotało” i że ułożyłem sobie szkielet mowy, której konstrukcja spoczywała na sformułowaniu: „Panie ministrze (towarzyszu sekretarzu itp.) w tej chwili jest pan (jesteście) zwykłym widzom teatralnym, którego obowiązują normy ogólnie przyjęte i znane dla zachowania się w teatrze. Wdzierając się przemocą na salę, naruszył pan (naruszyliście) te normy, zachował się pan (zachowaliście się) nieprzystojnie, jako związek z czym zmuszony jestem, jako kierownik tej instytucji — wyprosić pana (was) z teatru, co niniejszym czynię”.

Zdumienie na widok Pani odebrało klarowność mojej przemowie, ujawniło się tylko nieskładnie jej „zaprogramowanie” i wspomniany bulgot.

Żona przy kolacji dziękowała bogom za to, że padło to na Panią, a nie na Olszowskiego czy Rusinka, a mnie trochę z tego powodu głupio, nie kryję tego (choć nie będę się już teraz aż tak oburzał na ucznia, który cmoka na widowni, gdy Przelecki całuje Smugoniową).

Ze swej strony przepraszam Panią i byłbym bardzo rad, gdybyśmy incydent uznali za niebyły — nie tyle z powodu kursu SPATiFu, ile z uwagi na moją dla Pani sympatię, serdeczność i szacunek, pogłębione Pani listem, którym — jak się to powiada — podbiła Pani moje serce.

Najlepsze pozdrowienia

Kazimierz Dejmek

Warszawa, dnia 4 grudnia 1967